

Dramat lodówki

Może morze. rez. Michał Derlatka, Wrocławski Teatr Lalek

JOLANTA KOWALSKA

Lubię to! 4



Malina Prześluga odkryła groźną wieloznaczność lodówki. W jej sztuce *Może morze* ten swojski domowy sprzęt jawi się jako przestrzeń doświadczeń granicznych, wąska kładka pomiędzy życiem a śmiercią. Nad lokatorami lodówki unosi się widmo nieuchronnej zagłady w parującym na wolnym ogniu garnku. Ale dla bytów niejadalnych, takich jak śniegowy bałwanek, azyl w chłodziarce może być jedyną szansą na przetrwanie. Z tej sprzeczności interesów w tekście Prześlugi rodzi się konflikt o wymiarze niemal tragicznym.

W starej, niesłusznie zapomnianej sztuce *Kość w gardle* protoplasta polskiej awangardy filmowej i mistrz paradoksu Stefan Themerson zwrócił uwagę na wypieranie ze świadomości kultury faktu, że człowiek jest końcowym ogniwem łańcucha pokarmowego. Żywny się cudzym życiem. U podstępny wywizacji chrześcijańskiej tkwi hipokryzja, maskująca sprzeczność pomiędzy zjadaniem zwierząt a przykazaniem „nie zabijaj”. Themerson uznał ten konflikt za nierozwiązywalny. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Dziś mówimy otwartym tekstem o gehennie zwierząt, słysząc też coraz więcej głosów o konieczności rewizji fundamentów etycznych cywilizacji, podporządkowanej życie na ziemi potrzebom człowieka. In powieści Olgi Tokarczuk *Przód* przez kości umarłych wypowiedzenie posłuszeństwa temu porządkowi przez samotną eko-terrorystkę przybierało formę niemal metafizycznej awantury. Chrześcijańskiej wizji świata, instrumentalizującej naturę jako najpośledniejsze ogniwo hierarchicznego porządku, usankcjonowanego przez święte księgi, powieść przeciwstawiała projekt alternatywnej cywilizacji, budowanej na empatii i partnerskim współistnieniu wszystkich istot żywych. Być może jednak zapowiadana w książce ekologiczna rewolucja okaże się bezkwa. Antropocentryczny dyskurs traci wpływy nawet w teologii, czego dowodem głosu dopuszczające możliwość zwbawienia zwierzęcych dusz.

Świadectwem zmieniającej się wrażliwości są pojawiające się tu i ówdzie bajki o konieczności abolicji dla świętecznych karp. Jest nim również sztuka *Może morze* Prześlugi, której papremię wrocławskim Teatrze Lalek wyreżyserował Michał Derlatka. Rzecz dotyczy raczej roślin niż zwierząt, ale spektakl, podobnie jak powieść Tokarczuk, upomina się o podmiotowość natury, która jawi się w nim jako świat osobny i dla człowieka niedostępny.

Zaczyna się od niewinnej operacji kuchennej. Sympatyczny Kucharz kroji włoszczyznę na zupę, podsuwając dzieciom plasterki marchewki. Początek budzi entuzjazm, po warzywnie krąży wyciąga się las rąk. Zaledwie jednak pomarańczowe talarki zostaną przełknięte, pod nożem Kucharza ożywa dorodna Marchewka, przystrojona bujnym pióropuszem naci. Konsternacja jest wielka, tym bardziej że rumiana bulwa, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że to ostatnie sekundy przed egzekucją w garnku, naiwnie prosi Kucharza, by przystrzygł jej rozwichrzoną czuprynę. Prześluga i Derlatka łamią reguły bajkowej konwencji, wedle których zwierzęta i rośliny zawsze w jakimś stopniu uosabiają świat ludzki. W spektaklu wrocławskim rzeczywistość natury i wszelkiej ożywionej materii pozostaje z nim w jawnej sprzeczności. Człowiek jest jej przeciwnikiem – nie może pomóc bohaterom ani ich ocalić. Dlatego w przyjaźni pomiędzy Marchewką a Kuchcikiem tkwi sadystryczny dreszczyk. Toczy się między nimi wielce dwuznaczna gra. Nie ma pewności, czy Marchewka jest nieświadoma niebezpieczeństwa, czy też wręcz przeciwnie – usiłuje, tak jak Szeherezada w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*, uwieść swojego oprawcę opowieścią, by odroczyć swój zgon w zupie. Bo też Kucharzyk daje się usidlić historii, pełnej najbardziej niespodziewanych zwrotów akcji i efektów specjalnych. Marchew (w tym spektaklu rodzaju męskiego) przedstawia wielki show, opowiadając, jak dziecięca ręka uprowadziła go spod kuchennego noża, by ozdobić nim głowę ulepionego właśnie Bałwana. Śniegowy ludek jednak zaprzężył się ze swym marchewkowym nosem, wspaniałomyślnie zwracając mu wolność potężnym kichnięciem. Od tego momentu zaczęła się wspólna epopeja dwóch włóczęgów, usiłujących wymknąć się przeznaczeniu. Godziny obu są właściwie policzone: jeden odbędzie ostatnią wędrówkę w czymś przewodzie pokarmowym bądź zgnie, drugi zaś roztopi się, gdy tylko nadejdzie zapowiadane właśnie ocieplenie.

Marchew i Bałwanek stanowią najgorzej dobraną parę świata. Pierwszy jest nieco zgorzkniałym bywałcem salatkowych barów, szorstkim w objęciu, lecz o wielkim sercu, zaś drugi – jak na istotę świeżo narodzoną przystało – radykalnym entuzjastą życia, dostrzegającym piękno nawet w otworze rury kanalizacyjnej. Ich wędrówka to kolorowy kalejdoskop przygód i intrygujących znajomości. Na tym szlaku czeka ich wizyta w salad barze z królującą za szklaną ladą grecką Salatką o rysach Marylin Monroe, spotkanie z Gołębiem kontuzjowanym po zaplądaniu w przewody elektryczne, włóczęga szlakiem nocnych ulic, mrugających feerią kolorowych świateł i podróż nad morze.

Najbardziej intrygującym miejscem jest jednak wnętrze lodówki, dokąd Marchewka trafił w drodze na kuchenny szafot. Na jej półkach trwa niustająca balanga – skazańcy chcą wykorzystać resztkę życia, zanim znikną w czeluściach czyszego żołądka. W przeciwieństwie do oportunistycznych lokatorów chłodziarki Marchew i Bałwanek stawiają czoła losowi, by przedłużyć swój żywot. Nie jest to proste. Śniegowy Bałwanek zaczyna się topić, więc Marchewka planuje powrót do lodówki, chociaż wie, że dla niego samego oznacza to śmiertelne niebezpieczeństwo. Ten zamiar udaremnia ostatecznie zakochana w Marchewce Salatką grecka, umieszczając w drzwiach chłodziarki ładunek wybuchowy. Akt terrorystyczny spała jednak na panewce, bo lodówka nie dozna większych uszkodzeń, lecz z inspiracji pechowego lotnika-Gołębia zrodzi się nowy plan ratunkowy – podróż na biegun! Nie wiemy, czym się skończy ta wyprawa. Może śniegowy ludek stanie się morskim bałwanem, a Marchewka zniknie pod grzywą fal, a może obaj zdolają umknąć przed prześladującym ich losem i znajdą azyl w jakiejś lodowej wieczności? Widz pozostaje w rozterce wraz z niepokieszoną po zawodzie miłosnym Salatką grecką, zakłopotanym Kucharzem i Gołębiem – może jedynym prawdziwym optymistą w tym towarzystwie, przyjmującym ze stoickim spokojem wszelkie przeciwności losu. W sumie jest happy end, ale jakby go nie było. Wiadomo, że Bałwan i Marchewka walczą tylko o odroczenie wyroku, bo na końcu wielkiej włóczęgi czeka wielka nicość albo rozplyniecie się w kosmosie. Bohaterowie oswiają się z tą perspektywą, a nawet widzą w niej pewne zalety. „Będę nieskończony!” – cieszy się Bałwanek na wieść o tym, że roztopi się w morzu.

W filozoficznej baśni Prześlugi można dojrzeć parabolę na temat ludzkiego życia, które jest również kruche i zależne od kaprysów losu, jak życie roślin i zwierząt. Trzeba umieć się nim cieszyć, nim zgaśnie. To epikurejskie przesłanie może się wydać jednak subtelnym kamuflażem dla innej, nieco mniej oczywistej refleksji o wyobcowaniu człowieka z natury. To pewnie nie przypadek, że w spektaklu Derlatki kucharz jest właściwie niemy. Ludzkim językiem posługują się rośliny, zwierzęta i rozmaite produkty „martwej natury”, ale ich świat jest niedostępny. To obcość, której nie złagodzą żadne formy empatii. Sympatyczny kuchcik nic nie wie o dramacie, jaki rozgrywa się w lodówce. Wielka spowiedź Marchewki być może wzbudzi w nim współczucie, ale ten odruch pozostaje bez konsekwencji. Kucharz ma wielką władzę, jego nóż jest nawet dla Marchewki czymś w rodzaju figury przeznaczenia, mimo to nie może ocalić pary włóczęgów.

Ta sprzeczność wybrzmiałaby może silniej, gdyby lepiej wykorzystano postać Kucharza. Sławomir Przepiórka to świetny aktor, ale niewiele ma do zagrania, bo jego bohater jest tylko biernym słuchaczem opowieści Marchewki. Przepiórka stara się nadać jego obecności na scenie jakiś sens, lecz stanowczo za dużo w tym śmiesznych min i wygibasów. Buffo Kucharza kiepsko też współbrzmi z resztą spektaklu, w którym pojawiają się znacznie ciekawsze tonacje. Wielka włóczęga Bałwanika i Marchewki czasem przypomina kino drogi, a czasem zawieszysty thriller. Raz bierze w niego czysta liryka, a kiedy indziej – trashowe klimaty rodem z ballad Toma Waitsa, o co zadbał autor muzyki do piosenek, Igor Gawlikowski. Te songi, w których pobrmiewa całkiem „dorosły”, ironiczny dystans, nadają spektaklowi Derlatki prawie brechtowski smak. Gdyby nie dialogi wypchane watą jałowych przekomaranek, rzecz oglądałoby się świetnie. Tym bardziej że forma plastyczna przedstawienia jest naprawdę olśniewająca. Michał Derlatka należy do ginącego wśród reżyserów plemienia entuzjastów lalek, czemu daje wyraz, uruchamiając na scenie prawdziwy festiwal najrozmaitszych technik animacji. Główni bohaterowie mają po kilka awatarów, z których każdy – jak w filmie – prezentuje postać w nieco innym „kadrze”: od zbliżeń po dalekie plany. Dzięki temu Marchewka może się zaprezentować jako malutka kukielka, średniej wielkości kombinacja lalki rękawiczkowej i potężna bryła ze śpiewającym aktorem w środku. Nie mam pewności, czy Krzysztof Grębski daje sobie radę z obsługiwaniem tych wszystkich form samodzielnie, ale to jego głos sprawia, że nieco zgorzkniałej i nadpobudliwej Pan Marchew jest – mimo wielości wcieleń – najbardziej wyrazistą figurą w spektaklu. Salatką grecka to prawdziwie bajeczny fajerwerk wyobraźni, dzieło kolektywne Irminy Annusewicz i Kamili Chruściel, emanujące seksepitem płataniny odnoży i zmysłowym czarem pełnych ust w twarzonej kompozycji warzyw. Trochę mniej względów u scenografa miał Bałwanek, lecz bylejakości jego form cielesnych zneutralizował skutecznie Marek Tatko, któremu udało się wyeksponować mikrodramacik zachłyśniętej urodą życia, topniejącej bryły śniegu. Pozostanie tajemnicą realizatorów, dlaczego Gołąb jako jedyna istota nie-ludzka występuje w żywym planie. To wyjątkowo niekomfortowa sytuacja dla Konrada Kujawskiego, który ze względu na szczupłość miejsca musi odegrać ptasią katastrofę lotniczą tuż pod nogami widowni. Dziwne to tym bardziej, że Derlatka i scenograf Michał Dracz potrafili ożywić animacją nawet miejski pejzaż z tańczącymi domami i wstępem sunących ulicą aut, nie mówiąc już o ekstatycznym żywocie produktów spożywczych we wnętrzu lodówki. Szwankuje też kompozycja przestrzeni. Aby ożywić skomplikowane formy, animatorzy korzystają z konwencji czarnego teatru, operując wewnątrz niezgrabnej, szaroburej konstrukcji. Stłoczenie wszystkich planów akcji w ciasnej przestrzeni sprawia, że obraz, który miał wodzą głębią perspektywy i zróżnicowaniem skali przedmiotów, staje się niemal płaski.

Może morze jest projektem o niewykorzystanym potencjale. Może za bardzo starano się go dostosować do kategorii wiekowej „od 5 lat wwyż”, choć chwali się zespołowi, że w tej pogodnej opowieści nie starac się zakłajstrować tych wszystkich pęknięć i szczelin, którym śgaczy się najczarniejsza rozpacz. Bo kucharz nigdy nie będzie prawdziwym przyjacielem marchewki, a ucieczka z lodówki nie odmieni jej losu, choć na horyzoncie zawsze jest jakieś morze. Morze pytań bez odpowiedzi.

30-11-2015

GALERIA ZDJĘĆ

MOŻE MORZE, REŻ. MICHAŁ DERLATKA, WROCLAWSKI TEATR LALEK



ZOBACZ WIĘCEJ



Wrocławski Teatr Lalek
Malina Prześluga
Może morze
reżyseria: Michał Derlatka
scenografia: Michał Dracz
muzyka: Igor Gawlikowski
wizualizacje: Alicja Pietrucka, Robert Maniak
obsada: Irmina Annusewicz, Kamila Chruściel, Krzysztof Grębski, Konrad Kujawski, Sławomir Przepiórka, Marek Tatko
premiera: 14.11.2015

TAGI: Malina Prześluga, Michał Derlatka, Michał Dracz, Igor Gawlikowski, Wrocław, Wrocławski Teatr Lalek,

Udostępnij

Lubię to! 4

SKOMENTUJ

Autor [lub zaloguj się](#)

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:dwa plus trzy jako liczbę: 

KOMENTARZE (1)

godna | 2015-12-02 23:08:42 <#> [Cytuj](#)

Sztuka i ta cała Psześluga jest pusta jak moja lodówka